

Stanisław Mikke

Tancerze

Palestra 41/7-8(475-476), 70-72

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Tancerze

Tuż przed wakacjami wpadła mi w ręce niewielka książeczka Milana Kundery pt. „Powolność”. Ta znakomita lektura zmieniła wcześniejsze plany, odrobienia przykrych zaległości, poruszenia w tym miejscu spraw, którymi już dawno wypadło się zająć. Solennie sobie przyrzekając, że o nich nie zapomnę, dałem się ponieść urokowi *long-short story* emigracyjnego czeskiego pisarza.

Jak to u Kundery bywa, opowieść to dość wyrafinowana i przeplatana osobliwym, i dla niejednego szokującym erotyzmem. Szczególne jednak zainteresowanie wzbudzają te fragmenty, które narrator poświęca... tancerzom. Takim to mianem określa jeden z bohaterów „Powolności” tych, którzy nie pragną władzy, lecz sławy. I starają się ją zdobyć na

specyficznej drodze: nawoływania do pięknych, moralnych uczynków. Zawierając pakt nie z Diabłem, lecz Aniołem. Tancerz „swoje propozycje przedstawi na estradzie, śpiewając, tańcząc i wezwie po imieniu innych, by podążali za nim w jego działaniu”. Chodzi o to, by „zająć scenę, aby mogło z niej promieniować jego ja”. „Prawdziwa istota tancerza – kontynuuje swoją teorię bohater Kundery – tkwi w obsesji dostrzegania we własnym życiu materii na dzieło sztuki; on nie głosi moralności, on ją tańczy”. Tancerz pragnie „uwieść publiczność”, jego „wielka publiczność jest naiwna i uznaje moralne uczynki za piękne”.

Jako pretekst do rozwinięcia konceptu tancerza posłużyły autorowi postacie,

które zapewne we Francji mają swoje mocne pierwowzory. Oto poseł i intelektualista prześcigają się w humanitarnych gestach i akcjach. Gdy jeden całuje w usta chorego na AIDS, drugi odpowiada wyjazdem do Afryki i sfotografowaniem się obok umierającej czarnej dziewczynki. Pierwszy natychmiast kieruje publiczną uwagę na francuskie, biedne, cierpiące dzieci z wiosek oraz przedmieść i organizuje wielki pochód. Krótka powieść Kundery to wielka kpina z „tancerzy”. Ale, jak sam przyznaje, ich próżność wspiera sprawy, „które my także uznajemy za sprawiedliwe”.

Miarą wielkości pisarza jest – jak wiadomo – uniwersalność jego myśli i przesłania. I pytanie to wyłącznie retoryczne, czy będzie choć jeden polski czytelnik (wyłączając z tego grona samych zainteresowanych, jeżeli sięgną po „Powolność”), który w tej lekturze nie dostrzeże naszych rodzimych – Kundera jest bezlitosny – „błaznów mass-mediów, kabotynów, fircyków, tancerzy”? Tych, którzy reagują niemal bezwarunkowo na każdy głośniejszy problem społeczny, na każdy byle dostatecznie spektakularny dramat. Stają niezwłocznie przed telewizyjnymi kamerami, zapraszają do moralnego kontredansa, a przedstawiciele środków masowego przekazu zbiegają się wokół tego swojskiego żerowiska. Tylko nieliczni mają później odwagę napomknąć o meandrach szlachetnych akcji – o braku odpowiedzialności ich organizatorów, a przede wszystkim o marnotrawieniu bezinteresownego poświęcenia „naiwnej publiczności”. I choć niejednokrotnie okazuje się (najczęściej to wiedza dla węższego już grona), że tancerze nadużywają społecznego zaufania, kolejna

ważna a głośna sprawa i środki masowego przekazu dają im sposobność do następnego opisu. Bo „tancerz” – jak pisze Milan Kundera – „zakochany jest w swoim życiu tak, jak rzeźbiarz potrafi być zakochany w pomniku, któremu właśnie nadaje kształt”.

Powróćmy jeszcze za granicę. Ubiegłego lata zmarł Melvin Belli, jeden z najsłynniejszych adwokatów amerykańskich, autor wielu książek z dziedziny prawa. Rozgłos zdobył już przed wojną, kiedy to na salach sądowych odtwarzał różnymi metodami i za pomocą rekwizytów wydarzenia będące przedmiotem rozpraw. (Mieliśmy i w Polsce w tamtych czasach takich mistrzów). Belli występował w najgłośniejszych procesach odszkodowawczych i karnych. Bronił za darmo wielu skazanych na karę śmierci. Nie obawiał się przy tym konkurencji wielkich firm prawniczych, zatrudniających dziesiątki prawników, stawiając zawsze na solowe popisy. Ale w którymś momencie zatracił się w sławie. Swoją kancelarię urządził na parterze wieżowca przy jednej z prestiżowych ulic San Francisco. Siedział za biurkiem, przy odsłoniętym oknie i pozdrawiał turystów specjalnie tamtędy przejeżdżających, by go zobaczyć. Był ulubieńcem mass-mediów, zwłaszcza telewizji. Choć ten, bez wątpienia, wybitny prawnik w porę rozpoznał nowe czasy i siłę współczesnych środków przekazu oraz umiejętnie je do pewnej chwili wykorzystywał, zakochany we własnym życiu nie potrafił pohamować próżności. Szykując sobie własną zgubę. Nie dość, że nosił czapczkę błazna, to i przed śmiercią został bankrutem. I swoim życiem potwierdził znaną prawdę, że jedno i drugie, w równym stopniu grozi tym, któ-

rzy, zachłysną się jak ów amerykański „tancerz” tak zwaną nowoczesnością, jak i tym, którzy skostnieją w okowach świętej i posępnej tradycji.

Tancerze, ci wszyscy, którzy uwierzyli, że są wybrani do szczególnej misji i stali się „instytucją publiczną jak zakład ubezpieczeń społecznych, jak szpital dla obłąkanych” – czeski pisarz oddaje im sprawiedliwość w swojej humoresce – są oczywiście pożyteczni. I chociaż skierowuje na nich salwy śmiechu, każe jednocześnie wypowiedzieć epizodycznemu bohaterowi takie słowa:

„– Drogi panie, nie możemy wybrać epoki, w której żyjemy – a wszyscy żyjemy pod okiem kamery. Stanowi to już część ludzkiej kondycji. Nawet gdy prowadzimy wojnę, prowadzimy ją pod okiem kamer. A kiedy chcemy zaprotestować przeciw czemukolwiek, bez kamer nasz głos nie zostanie dosłyszany. Wszyscy jesteśmy, jak to pan mówi, tancerzami. Powiedziałbym wręcz: albo jesteśmy tancerzami, albo jesteśmy dezertierami. Pan wydaje się żałować, drogi panie, że czas idzie naprzód. Niechże

więc pan zawróci! Do XII wieku, odpowiada panu? Ale kiedy już pan się tam znajdzie, będzie pan protestował przeciwko katedrom, uznając je za nowoczesne barbarzyństwo! Niechże więc pan zawróci jeszcze dalej! Niech pan wróci do mała! Tam nie będzie już panu groziła żadna nowoczesność, tam będzie pan u siebie, w niepokalanym raju makaków!”.

Powtórzmy jedno zdanie: Czas idzie naprzód. Czy nam się to podoba, czy nie. Z tego my, nasze środowisko, jak niewiele innych tak silnie obciążone mitem tradycji musi wyciągać bezustannie, ale zwłaszcza w obecnej chwili, właściwe wnioski. Nie tylko przy okazji nowelizacji zbioru zasad etyki zawodowej, choć to ważny moment. I nie uciekniemy od wielu istotnych pytań, które na koniec sprowadzają się do jednego pytania, które nie tak dawno postawił na łamach „Palestry” adwokat Andrzej Tomaszek: czy mamy być elitą, czy zaściankiem? Bez udzielenia jasnej odpowiedzi, ze wszystkimi jej konsekwencjami, nie ma co spokojnie patrzeć w przeszłość.